



Dworek pod skrzydłami

Agnieszka Rezler

Choć otaczający go ogród jest jeszcze młody, dom już nieraz dawał schronienie ptakom, ulubieńcom właścicielki. Przylatują z nieodległych lasów, z nadwiślańskich łożyn, z pobliskiego jeziora objętego strefą rezerwatu. Widocznie doskonale wiedzą, gdzie są mile widziane.

Właśnie z myślą o ptakach właściciele zasadzili rajska jabłonkę; jej owoce pozostają na gałęziach przez całą zimę. Latem wabi skrzydlatych sąsiadów szum wody spływającej do kamiennego poidełka, które stanęło w ogrodzie specjalnie dla nich. *Mieliśmy tu już trzy ptasie rodziny* – opowiada Kasia – *Kopciuszek zagnieździł się w miejscu jakby do tego stworzonym: w przestrzeni nad podbitką dachową. Dostały się tam przez dziurkę przeznaczoną dla niezamontowanej jeszcze wtedy lampki.* Drugie gniazdo tych niewielkich ptaszek zlokalizowano w okolicy ganku, szpaki zaś wprowadziły się pod dachówkę, tuż obok okna sypialni. *Jazgot młodych budził nas już o trzeciej, czwartej nad ranem* – wzdychają gospodarze. Ale oboje ptaki lubią; ornitologią szczególnie interesuje się Kasia, której udało się we własnym ogrodzie po raz pierwszy w życiu zobaczyć niepospolitą białorzytkę. Nieufny płochliwy ptaszek, który najchętniej gniazduje wśród skał Jury Krakowsko-Częstochowskiej, z rzadka zagląda na Mazowsze, zakładając wtedy łęgowiska na dużych budowach. A tych w okolicy nie brakuje.

Siedem lat temu Kasia i Tomek zaczynali budowę na prawie pustej łące. Dziś ich dom obrośło małe miasteczko: nieprzejezdny ugor poprzecinała siatka uliczek, a ziemię przeryła infrastruktura kabli i rurek. Gazociąg się nie doczekali – zastępuje go wkopany w ziemię zbiornik z gazem płynnym. Na szczęście przyroda pozostała. *Lisy chodzą tu po ulicach* – śmieje się Tomek. Jeszcze częściej zdarzają się zające i kuropatwy. *A rok temu 200 metrów od domu widziałam dziką* – dodaje Kasia. Jeśli wcześniej mieszkało się w sąsiedztwie zajezdni tramwajowej i trzech szpitali, wokół których na okrągło kursowały karetki, nie trudno to docenić.

Działkę kupili z marszu. Pomijając niezobowiązujące wycieczki po obrzeżach Warszawy, była to druga z kolei parcela, którą obejrzel. *Przemówiła do nas od razu* – opowiadają – *Byliśmy o te kilka lat młodszy, nie mieliśmy dziecka; wtedy łatwiej podejmuje się decyzje.* Uprzejmy sąsiad szczerze opowiedział o zaleceniach i wadach okolicy, uprzedzając, że mogą się spodziewać kłopotów z doprowadzeniem energii. Dla nich jednak ważniejszy był miejscowy plan zagospodarowania, a ten sprawdzili dokładnie. Prąd przecież prędzej czy później dopłynie.

Dworkowy patchwork

Dom miał być nowoczesny, a przy tym formą nawiązujący do tradycji, słowem – dworek z garażem. Okazało się, że to nie takie proste.

Katalogowe dworki rzadko miewają garaże, bo połączenie staropolskiej architektury z wielką roletową bramą mało komu wychodzi efektownie. Można za to spotkać nieudane efekty takich eksperymentów: wielki dwustanowiskowy garaż z „dolepionym” nieśmiało z boku małym domkiem. Kasi i Tomkowi bardzo zależało na zachowaniu właściwych proporcji.

Gdy znaleźli w katalogu coś, co im się podobało, nawiązywali kontakt z autorem i prosili o pokazanie innych projektów. Tą metodą trafili do młodej pani architekt, która w swoim portfolio miała wiele wariantów podobnego budynku. Ponieważ dom trzeba było dosto-

sować i do działki, i do potrzeb przyszłych mieszkańców, zaczęło się żmudne „zszywanie”. Efekty tych przeróbek zaskakiwały nieraz samą projektantkę; jednym z nich były... cztery kominy, które na niewielkim domu wyglądałyby jak mała elektrociepłownia.

Gdy pozszywany projekt czekał już na złożenie w urzędzie, wyszła na jaw kolejna wpadka: rzut parteru nijak nie pasował do rzutów dachu i poddasza. Tym razem autorka pomyliła strony – projekt był lustrzanym odbiciem pierwowzoru, ale... nie w całości. *Trochę się przestraszyła* – wspomina Kasia – *skąd wziąć pewność, że to jedyny błąd w projekcie, a dom po prostu nie runie?* Na szczęście

przestraszyła się również projektantka i skrupulatnie naniosła korektę.

Pozostałe błędy były już niegroźne – pomyłki rachunkowe i wymiarowe, które nie mogły umknąć Kasi, dyplomowanej matematycze. *Część z nich ujawniła się dopiero na etapie wykańczania, gdy np. okazało się, że*

kupionej według projektu glazury jest o połowę za dużo – wspomina z rozbawieniem Tomek – W rezultacie długo nie mogliśmy się doliczyć powierzchni własnego domu, a na pytania: jak jest duży, odpowiadaliśmy: sami nie wiemy. Dworkowy patchwork zakończono więc inwentaryzacją powykonawczą.

Szczęśliwa trzynastka

Niewielka firma, którą znaleźli dzięki rekomendacji znajomych, budowała wyłącznie z polecenia. *Dziś pewnie już się rozwinęła, ale wtedy zaczynała: to była jej trzynasta budowa – mówi Kasia.* Trzynastka nie zaszkodziła – wykonawcy okazali się sprawni i uczciwi, a dowodzący nimi majster zasłużył się wielokrotnie, także na nielicznych odcinkach przejmowanych przez inne ekipy.

Prąd pociągnęli grubym kablem od uprzedniego sąsiada, który również nie dysponował własnym przyłączem, a energię pobierał „systemem lampek choinkowych” od kolejnego tubylca. Indywidualne liczniki pozwalały dokładnie się rozliczać; płatności biegły po sąsiedzkim łańcuszku. Aż do etapu stropu na budowie nie pojawiły się żadne problemy. Gdy na trójwarstwowych ścianach położonych styropianem legły żebra terivy, zawiodła szczelność szalunku formującego wieniec stropu: beton lany z gruszki popłynął między



Kamienne koryto ptasiego poidelka to autentyk ze starego wiejskiego gospodarstwa. Trudno było tylko dobrać równie spątynowany „cios” do umocowania kranu. Wykorzystano w tym celu fragment starego ogrodzenia – tylko ono miało wystarczająco leciwy wygląd



ocieplenie a warstwę elewacyjną, odchylając ścianę od pionu i wysadzając w niej sporą dziurę. Na szczęście wszyscy ocalili, stłukło się tylko parę pustaków. *Chłopcy naprawiali wyrwę tak szybko, że gdybym akurat wtedy nie przyjechał, pewnie o niczym bym się nie dowiedział* – mówi Tomek.

Materiały kupowano trzy ulice dalej, w niedużej hurtowni, która okazała się... najtańsza w powiecie. To, czego brakowało, właściciel sam ściągał z większych składów; o dziwo, kieszeń inwestorów na tym nie ucierpiała. Kasia z Tomkiem dorobili się za to statusu klientów przez duże K – wszak zamówili w jednym miejscu „cały dom”. *Dzięki temu doszliśmy do 40-procentowego rabatu* – wspominają – *a gdy zabrakło worka cementu czy wiadra piachu, hurtownik przywoził nam je osobiście i gratis.*

Lekko jednak nie było. Ponieważ oboje dużo pracowali, bywało, że ich dzień zaczynał się o 5⁰⁰ rano, a kończył o 23⁰⁰. *Błądym świtem jechałem do Nowego Dworu zamówić beton, a o 8⁰⁰ musiałem już być w pracy w Warszawie* – wspomina Tomek – *Z pracy znów na budowę, z niej do Castoramy, bo czegoś tam zabrakło, a potem oczywiście... z powrotem na budowę.*

Dla Kasi jeszcze większym wyzwaniem było odbieranie zamówionych materiałów. *Udawanie, że się na tym świetnie znam i wszystko mam pod kontrolą, bywało naprawdę stresujące* – przyznaje – *pod koniec oboje byliśmy już bardzo zmęczeni.*

Blach cięcie-gięcie

Przewrotna trzynastka musiała prędzej czy później dać o sobie znać. Wprawdzie skończyło się szczęściem w nieszczęściu, ale

Na górnych zdjęciach: kuchnia z oryginalnie obmurowanym piekarnikiem oraz fragment salonu. Oba pomieszczenia łączy szerokie przejście, dzięki czemu jadalnię nawet w godzinach przedwieczornych wypełnia światło





Salon (obok i na sąsiedniej stronie u dołu) zachowuje swojski dworowy klimat; zwraca w nim uwagę obmurowany pięknymi kafłami kominek. Czwarty domownik, czworonożna Berta, dobrze czuje się w tradycyjnych wnętrzach



złośliwy pech napędził inwestorom strachu. Pewnej nocy, gdy dom stał jeszcze nieprzykryty dachem, zadzwonił sąsiad: „wasz barak odfrunął!”. Rzeczywiście, wiało tamtego dnia na potęgę. Ale barak?! Solidna i ciężka konstrukcja, pokryta blachą trapezową, zespawana z grubych stalowych kątowników? Nie inaczej. Wizja lokalna ujawniła przerażające skutki: blaszak leżał w polu 30 metrów dalej, pogięty i poskręcany jak dziecięca zabawka – po prostu kłębek żelastwa. Materiały i narzędzia, które wcześniej ochraniał, stały pod gołym niebem; wiatr na szczęście nie dał rady betoniarce.

To wtedy wykupiliśmy polisę OC – przynajnie Tomek – Co by było, gdyby nasz barak trafił w czyjś dom? Lepiej nie myśleć.

Fala nad dachem

Dach kryli w sierpniu 2001 r., podczas pamiętnej wielkiej powodzi, która spustoszyła południową Polskę. Stamtąd właśnie pochodził główny cieśla, jedyny w firmie specjalista od konstrukcji dachowych. A było czego doglądać: czterospadowa więźba kopertowa miała liczne lukarny i okna połaciowe, do tego jeszcze nietypowe połączenie z zaprojektowanym do oryginału garażem. Wszystko to sprawiało, że prace, dotąd idące sprawnie, zaczęły się przeciągać. Firma nie zajmowała się robotami dekarскими – na układanie dachówki ceramicznej umówiona już była zewnętrzna ekipa. Termin



W nostalgicznie urządzonej łazience na poddaszu prozaiczna potrzeba stała się matką niebanalnego efektu: piękną stylizowaną wannę ustawiono nietypowo, pośrodku, ponieważ w pierwotnie wyznaczonym miejscu, pod skosem dachu nikt z domowników – poza matką Małgosią – nie mógłby się wyprostować. Na dolnym zdjęciu jeden z nieurządzonych jeszcze pokoi pod kopertowym dachem. *Gdybyśmy budowali dzisiaj, ścianka kolankowa z pewnością byłaby wyższa – deklarują właściciele*

się zbliżał, a szybkiej wiechy na więźbie nic nie zapowiadało. Dekarze nie mogli jednak czekać: wkroczyli na dach, który z drugiej strony jeszcze... budowano. Gdy oni od południa kładli już dachówki, po stronie północnej cieśle piłowali drewno. W dodatku majster z terenów zalewowych „stał na walizkach”: do jego domu na Dolnym Śląsku zbliżała się fala powodziowa. Codzienne telefony do żony przynosiły wprawdzie chwilowe odroczenie, ale ukończenie więzby stało pod znakiem zapytania. Gdy inwestorzy usłyszeli, że „woda doszła już do płotu”, byli pewni – z więzby nici. Cieśla wykazał jednak niespotykanie zimną krew: przeczekał falę, która kolejnego dnia cofnęła się i odplynęła. Dach szczęśliwie ukończono.

Aktorzy drugiego planu

Głównodowodzący majster miał, trzeba przyznać, rękę do ludzi. Wszyscy, których polecił, okazali się kompetentni albo przynajmniej pełni zapału. Taki był fachowiec „złota rączka”, który jako pierwszy zasiedlił zadaszony budynek, by zająć się malowaniem, układaniem płytek i innymi drobnymi pracami. Roboty się nie bał, a przy tym był sympatyczny. Kasię i Tomka rozbawił niemal do łez, gdy pod koniec swojej „rezydencji” o pokoju, w którym urządził sobie legowisko, mawiał: „mój pokój”.

Wszystkich pobił jednak hydraulik, człowiek dobry w swoim fachu ale – jak uprzedzał majster – nieco nerwowo. *Wyglądał jak cień – wspominają gospodarze – i nic dziwnego: pracował od czwartej rano do drugiej w nocy, na dwie godziny kładł się spać w samochodzie i od nowa. Nie było dla niego sobót, niedziel czy świąt. A jaki miał przy tym napęd! W dodatku był doskonałym fachowcem. Kasia z podziwem relacjonuje, w jaki sposób kupował materiały: kompletne instalacje grzewczą i wodno-kanalizacyjną do całego domu – razem kilkaset pozycji – zamówił z pamięci! O niczym nie zapomniał, nie zabrakło ani jednej złączki. Recytował jak nakręcony, a do mnie, ubranej w „służbową” garsonkę, zwracał się: „gospośiu” – opowiada ze śmiechem.*

Kompetencje fenomenalnego hydraulika zweryfikował, i to pozytywnie, czas. Gdy którejś mroźnej zimy, już po zamieszkaniu, w rurach zamarzła woda, wystarczył telefon; fachowiec natychmiast przypomniał sobie wszystkie szczegóły przebiegu sieci wodnej i postawił telefoniczną, rzecz jasna trafną diagnozę. *To niewiarygodne – mówi Kasia – ale on po prostu pamiętał każdą instalację, jaką kiedykolwiek wykonał.*

We wrześniu 2002 roku wprowadzili się we dwoje do pustawych jeszcze wnętrz. Cztery lata później w dworku „pod skrzydłami” pojawiła się nowa mieszkanka, malutka Małgosia, wzbogacając ptasi gwar pogodnym gaworzeniem. Dziś w salonie panoszą się pieski i misie, a honorowe miejsce na tarasie zajmuje przenośna piaskownica.

Mieszka im się doskonale: Wisła i puszczą są o dziesięć minut jazdy rowerem. A czas budowy odsunął się w przeszłość, ustępując miejsca nowym wydarzeniom. Wraca we wspomnieniach jako okres wysiłku i niepewności, radości i nadziei – taki, który warto było przeżyć razem. ■

